

O naszym drogim strachu

Andrzej Popielski



Źródłem istnienia naszej branży i podstawą jej bytu jest strach. Prywatnie bać się jednak lubimy tylko w kinie, w życiu wolimy, by bali się inni. Krzepi nas strach, zwłaszcza tych tzw. wielkich: mających władzę, popularnych, bogatych. Śpi taki pewnie na ukradzionych milionach i trzęsie się ze strachu. Chciałoby się powiedzieć: Diogenesie – któremu do szczęścia starczały rozmyślenia, wino i beczka zamiast mieszkania – byłęś wspaniały!

Jak doniosły angielskie media, ochroną byłego premiera Tony'ego Blaira zajmuje się dwa razy więcej funkcjonariuszy niż urzędującego obecnie. Kosztuje to drogo. Czterech funkcjonariuszy Scotland Yardu (z komórki SO1) pilnuje domu drogiej osoby, a ponad 20 jej samej. Ekipy aniołów stróżów jeżdżą z nim (i przed nim, tam gdzie ma się udać; dla oceny ryzyka). VIP zresztą na potęgę prywatnie chałturzy. Jeździ po świecie jako konsultant banku JP Morgan lub na płatne wykłady, będące sutym źródłem dofinansowania emerytur ekspolityków. Ponieważ Blair zarobił na nich miliony, słychać głosy, by coś dołożył do swojego bezpieczeństwa

i rodziny, zwłaszcza że kosztuje ono podatników trzy razy więcej od planów, tj. 6 mln funtów rocznie.

Strach wielkich – a często nie są to świetlane postacie – nie jest wymagany. Mają się czego bać. Glob pełny jest także wariatów, nie tylko z organizacji fanatyków religijnych. Aby przejść do historii, Herostrates spalił 2366 lat temu świątynię Artemidy w Efezie, jeden z siedmiu cudów ówczesnego świata. Dzisiaj, aby skierować na siebie kamery światowych telewizji, wystarczy jakiegoś premiera grzmotnąć w szczękę miniaturką świątyni zaledwie. Jakie czasy, tacy Herostratesi i historyjki szybko zapominane, choć bolesne dla poszkodowanych, bo wspomniana miniaturka to podobno 2 kg mosiądzu.

Ostatnio w dużej dawce medialnej wrócił temat bezpieczeństwa transportu lotniczego. Samoloty są widowiskowym celem zamachów, zyskujących natychmiast światowy rozgłos. A o to chodzi terrorystom. Znowu zaskoczyli materiałem wybuchowym rozłożonym na składniki niewidoczne dla detekcyjnego systemu bezpieczeństwa. Zawiodły także słabsze ogniwa, czyli ludzie i procedury. W sumie – prawie wszystko. Nie ma się zresztą co ludzić. Stosowanie takich czy innych urządzeń i technik przeciwdziałania, choćby skanerów „rozbiegających” lub jeszcze uciążliwszych procedur dla pasażerów, daje tylko krótkotrwałą przewagę. W niekończącym się wyścigu przegrywa przez chwilę strona spóźniająca się z działaniami proaktywnymi.

Głośnym echem odbiła się kradzież napisu znad bramy obozu w Auschwitz. Niezauważeni przestępcy działający jak amatorzy kręcili się tam kilkakrotnie. Piłowanie żelaznej konstrukcji musiało być głośne. Strażników nie było, kamera raczej w to miejsce – wejściowe, więc centralne – nie patrzyła. O ile była. Dość oszczędnie potem mówiono o niedostatkach ochrony, ale padło oficjalnie stwierdzenie, że wewnętrzne procedury nie zostały naruszone, zawinił podobno tylko człowiek. Jeśli tak było, to procedury i tak nie zapewniały właściwego poziomu bezpieczeństwa. Pod presją sytuacji zapowiedziano, że zostanie wprowadzony

nowy plan ochrony i nowoczesne zabezpieczenia, bez szczegółów.

W szumie medialnym zaginęła trochę wiadomość o wejściu w życie 1 stycznia br. rozporządzenia do Prawa telekomunikacyjnego. Te akty zobowiązują operatorów telekomunikacyjnych i dostawców Internetu do zatrzymywania i przechowywania przez dwa lata danych technicznych (generowanych w sieci i przetwarzanych) o połączeniach ich klientów, także nieudanych. Mają być one udostępniane sądom, prokuraturom i służbom. Wykaz danych archiwizowanych jest za długi jak na możliwości tego felietonu. Polecam lekturę aktu, jest m.in. na stronie Ministerstwa Infrastruktury.

Jeszcze o bezpieczeństwie sieciowym w wymiarze prywatnym. Wyłudzaczy w Internecie jest o wiele więcej niż tylko na portalach społecznościowych typu „Nasza klasa” czy „Facebook”. I nikt ich nie ściga. Była to dla mnie prawda teoretyczna, dopóki nie przyszedł na moją pocztę fałszywy komunikat z banku WBK, w którym proszono mnie o podanie numeru konta. Potem chciałem coś przed Gwiazdką kupić w e-sklepie. Poproszono mnie o imię i nazwisko, potem określenie płci (w dzisiejszych czasach pozory często mylą, więc takie ukonkretnienie jest konieczne). Musiałem podać adres zamieszkania i numery dwóch telefonów. Niby części danych osobowych wcale nie trzeba było wpisywać, ale formularz nie przechodził na kolejny etap załatwiania sprawy bez uzupełnienia, tej niby nieobowiązkowej, treści. Sklep bez adresu siedziby biura dumnie podkreślał w komunikacie: *Kwestia bezpieczeństwa ma dla nas najwyższy priorytet.*

W innym sklepie internetowym dowiedziałem się, że gdy do danych osobowych dołączę swój numer PESEL, to cena za golarkę będzie dla mnie przyjaźniejsza. (W PESEL-u są data urodzenia i numer).

Ciekawe, że nikogo z moich młodych znajomych, a przetestowałem kilkoro, takie postępowanie nie razi i nie niepokoi, nawet uważają je za normalne. Cóż, z cwaniactwem wilków i głupotą golonego stada owiec nikt nie wygrał. Kijem Wisły nie zawrócisz. Ale trzeba próbować. □